

Kathrin Tordasi

JEŻYNOWY Liś

Zakłęcie
Oka Burzy

KROPKA

Kathrin Tordasi

JEŻYNOWY Liś

Zakłęcie Oka Burzy

Przełożyła: Emilia Skowrońska

KROPKA

O autorce

Kathrin Tordasi studiowała w Walii. Natychmiast zakochała się w tym kraju i jego mieszkańcach. Bardzo chciała napisać historię, która rozgrywałaby się w tej pełnej legend krainie. Otoczona zapachami wilgotnego mchu, scones i mocnej herbaty z mlekiem napisała swoją debiutancką powieść – *Jeżynowy Lis. Tajemnica Krańca Świata*.

Kiedy Kathrin Tordasi nie wędruje po Wielkiej Brytanii, mieszka w Berlinie.

ORIGINALLY PUBLISHED AS *Brombeerfuchs – Der Zauber von Sturmauge*

BY Kathrin Tordasi

ILLUSTRATED BY Max Meinzold

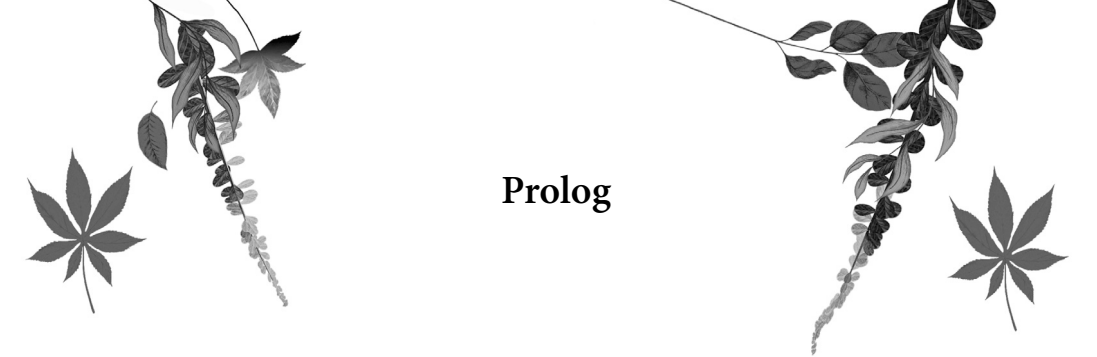
© 2022 Fischer Sauerländer GmbH, Frankfurt am Main

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Emilia Skowrońska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Kropka, Warszawa 2026

*Dla taty, który buduje najlepsze regały na książki
i pochłania historie nawet szybciej niż ja*



Prolog

Dawno temu światy śmiertelnych i nieśmiertelnych leżały tak blisko siebie, jakby były dwoma brzegami tej samej rzeki. Ludzie, zmiennokształtni i elfy bez trudu wędrowali i przechodzili z jednej strony na drugą. Pewna istota pragnęła jednak władać wszystkimi światami. Szary Król napadł na inny świat i przygotował Szarą Armię do ataku na ludzi. W obliczu tego zagrożenia elfy i ludzie podjęli trudną decyzję. Rozdzielili swoje królestwa i uwięzili Szarego Króla w pasie Krainy Niczyjej pomiędzy światem ludzi a innym światem. Dopóki drzwi pozostawały zamknięte, dopóty nie mógł nikomu zagrozić. Zapanowała zgoda. Jednak nie wszyscy dawni wędrowcy między światami odnaleźli spokój. Pewien lisi zmiennokształtny pozostał w świecie ludzi i szukał drogi powrotnej do domu.

Dwoje ludzkich dzieci, dziewczynka i chłopiec, odblokowało dla niego drzwi do innego świata. Szary Król wykorzystał tę okazję i doszło do kolejnej walki. Dzieci pokonały Szarego, a Tytania, królowa elfów, zażądała, by Drzwi Światów pozostały zamknięte już na zawsze. Lisi zmiennokształtny Robin – czyli Puk – został za karę wygnany do świata ludzi.

Wydawało nam się, że dzięki temu będziemy bezpieczni. Nie oceniliśmy jednak właściwie mocy tęsknoty. Nie zrozumieliśmy, że istota nosząca w sobie dwa serca nie potrafi tak po prostu uciszyć jednego z nich. I że magia zawsze znajdzie drogę, by przywołać tych, których kiedyś dotknęła. Tego dnia, gdy uznaliśmy, że drzwi zamknęły się na zawsze, było już za późno.

Olivia „Jeżyna” Stephen, *Wieści z innego świata*

Rozbitek w świecie ludzi

Robin



To było dziwne. Przez całe lata robił wszystko, by uciec ze świata ludzi, a teraz nie potrafił zdobyć się na jego opuszczenie.

Zmiennokształtny Robin siedział w kawiarni w Londynie. Na stoliku przed sobą miał filiżankę parującej czarnej herbaty. Za oknem przechodzili ludzie, a popołudniowe słońce barwiło niebo na różowo. Był dwudziesty pierwszy czerwca. Noc świętojańska.

W świecie Puka świętowano zmiany pór roku. Pomyślał o przesileniach obchodzonych w prastarych lasach. O tańcach, podczas których zmiennokształtni i elfy wirowali wokół siebie, krzyczeli z radości i tupali stopami oraz kopytami. Zabawy trwały całą noc. Królowa elfów rzucała zaklęcia, by wschód słońca nie zakończył święta przed czasem. Nikt nie odczuwał zmęczenia.

Puk spojrzął na ludzi na chodniku przed kawiarnią, którzy spieszyli się, by dotrzeć z punktu A do punktu B. Większość z nich zapewne nie miała świadomości, że to wyjątkowy dzień.

Robin z niezadowoleniem wyciągnął z filiżanki torebkę herbaty. Bez względu na to, dokąd trafiał w świecie ludzi, zawsze brakowało mu tego szczególnego blasku radości i beztroski. Wydawało się, że ludzie zupełnie utracili magię. Kręcili się jak chomiki w kołowrotkach. Kupowali owinięte plastikiem

wodniste owoce albo bez przerwy wpatrywali się w jakieś ekrany. Ten smutny gatunek odczuł się dostrzegając cuda.

Dlaczego więc tutaj został?

Powstrzymał się przed odruchowym dotknięciem kieszeni kamizelki. Przechowywał tam instrukcję wykonania Klucza Światów. Taki klucz pozwoliłby mu zostawić za sobą ponury świat ludzi. Zniknąć tam, gdzie magia była czymś więcej niż wysychającą strużką. A jednak wciąż tu tkwił.

Może to przez Portię. Kiedy zeszłego lata się żegnali, wydawało mu się, że dostrzegł w jej oczach złoty blask. Od tamtej pory kilka razy obserwował dziewczynę z daleka. Z tego, co potrafił ocenić, zachowywała się jak zwyczajne ludzkie dziecko. Chodziła do szkoły, urządzała pikniki w parku i tym podobne. Podejrzewał, że przygoda w innym świecie pozostawiła w niej ślad, ale najwyraźniej tak się nie stało.

Robin westchnął, ustawił łyżeczkę pionowo na środku filiżanki, przytrzymał ją od góry palcem, a potem puścił. Łyżeczka pozostała idealnie wyprostowana.

– Niezła sztuczka. Jak to zrobiłeś?

Przyłapany na gorącym uczynku zmiennokształtny podniósł wzrok. Przed nim stał młody mężczyzna z filiżanką w dłoni. Pilnując obojętnej miny, Puk wyjął łyżeczkę z herbaty i położył ją na spodku.

– Lata praktyki – powiedział. – I szczęście.

– Rozumiem. – Nieznajomy się uśmiechnął. – Prawdziwy czarodziej zachowuje swoje sekrety dla siebie. Nie masz nic przeciwko, bym się dosiadł? Wszystkie inne stoliki są zajęte.

Robin skinął zachęcająco głową.

– Dzięki. – Mężczyzna zajął miejsce obok i spojrzał na wielki plecak oparty o krzesło Puka. – Pewnie jesteś w podróży?

– Można tak powiedzieć. – Robin przez chwilę zastanawiał się, czy już żałuje, że pozwolił tamtemu usiąść tutaj, ale odkąd ostatnio z kimś rozmawiał, minęło już sporo czasu. Może potrzebował teraz właśnie odrobiny towarzystwa?

– Jesteś daleko od domu, prawda? – zapytał nieznajomy.

– Skąd ten pomysł? – zdziwił się Puk.

– Zauważyłem, jak wpatrywałaś się w filizankę. Widuję takie spojrzenie codziennie w lustrze.

Robin przyjrzał się uważniej młodemu mężczyźnie. Musiał być dopiero po dwudziestce, ale broda dodawała mu lat.

– Od jak dawna tu jesteś? – zapytał.

– Od trzystu lat – odpowiedział tamten z ponurym poczuciem humoru.

Robin roześmiał się i upił kolejny łyk herbaty.

– Tak właśnie się czuję. – Wyciągnął rękę. – Jestem Robin.

– Cal – przedstawił się rozmówca i uściśnął jego dłoń.

Przy okazji przypadkiem strącił ze stołu kartę dań.

– Och, wybacz!

– Nic się nie stało. – Puk podniósł kartę i odłożył ją na miejsce. Gdy znów popatrzył na Calę, tamten wsypywał do herbaty drugą saszetkę cukru.

– Większość Anglików odebrałaby ci za to prawo do picia herbaty – zażartował.

Mężczyzna znowu się uśmiechnął.

– Cukier i tak jest lepszy niż mleko – powiedział. – Do



tego dziwactwa chyba nigdy się nie przyzwyczaję. Co cię tu sprowadza?

Niestety to pytanie wiodło na zbyt niebezpieczny grunt.

– Moje zdecydowanie zbyt miękkie serce – odpowiedział wymijająco Robin, odchylił się na krześle i napił herbaty. – Od kiedy mieszkasz w Londynie?

Cal zamieszał w filiżance.

– Och, nie mieszkam tutaj, tylko w Walii.

Cóż za zbieg okoliczności, miał ochotę zauważyć Robin, bo doskonale znał Walię. Jednak herbata pozostawiła na języku gorzki posmak. Aby się go pozbyć, z obrzydzeniem przełknął ślinę.

– Piękna okolica – rzekł wreszcie. – A gdzie dokładnie, jeśli mogę spytać?

Cal podniósł wzrok.

– Llanrwst.

Puk się wzdrygnął. Llanrwst leżało zaledwie kilka kilometrów od tych drzwi. Pasowałby do nich klucz, którego sam nie odważył się użyć. Przypadki się zdarzają, ale to wydawało mu się już bardzo mało prawdopodobne. Przyjrzał się Calowi i naszło go dziwne uczucie, lecz nie potrafił się skupić.

Tajemniczy rozmówca ścisnął filiżankę tak mocno, że na wierzchu dłoni wystąpiły mu żyły. Rękaw swetra zsunął się za nadgarstek. Brązową skórę pokrywały tatuaże: geometryczne kształty, linie i oko pośrodku dłoni. Czy Pukowi tylko się wydawało, czy tusz lśnił? Bardzo słabo, niczym migotanie odległych gwiazd. Robin zamrugał. Ten natrętny smak nadal nie chciał...

Och.

Przeniósł wzrok z filiżanki Cala na własną, a potem na rozerwane szaszetki obok spodka młodego mężczyzny. Na jednej widniał napis „Brązowy cukier”. Druga nie miała żadnego nadruku i wcale nie wyglądała, jakby pochodziła z tej kawiarni.

Robinowi zrobiło się gorąco. Ależ on był głupi!

– Szybko działa – zauważył ze spokojem Cal.

Puk już miał zerwać się na równe nogi, lecz zakręciło mu się w głowie i musiał oprzeć się o stół. Rzucił mężczyźnie wściekłe spojrzenie.

– Dosypałeś mi coś do herbaty?

– Obawiam się, że tak.

Robin błyskawicznie rzucił się do przodu. Chciał chwycić Cal, ale tak mocno kręciło mu się w głowie, że widział podwójnie. Jego rozmówca uskoczył, a Robin zamiast go dorwać, strącił filiżankę. Przed oczami zatańczyły mu ciemne plamy. Bezradnie uniósł głowę, lecz nikt w kawiarni nie zwracał na niego uwagi.

Jęknął i opadł na krzesło. Zapraagnął przemienić się w lisa i uciec. Był o krok od utraty przytomności. Ogarniała go ciemność.

Ostatnie, co zobaczył, to Cal pochylający się nad stołem i sięgający dłonią do kieszeni jego kamizelki.



Sny o wilkach

Portia

We śnie Portia biegła przez łąkę. Nocny wiatr świstał jej w uszach, a ona mknęła jak strzała. Nie było ścian, murów ani niczego, co mogłoby ją zatrzymać. Każdy miesiąc w jej ciele śpiewał z radości, łapy niosły ją coraz dalej. Wskoczyła na skałę, spojrzała na rozległy krajobraz łąk i lasów, odrzuciła łeb do tyłu i zawyla.

Portia gwałtownie otworzyła oczy. Serce waliło jej jak szalone, jak zawsze, gdy we śnie była wilkiem. Zamrugła i dopiero po chwili zrozumiała, gdzie się znajduje. Potem rozpoznała znajomy sufit pokoju, skos dachu i gwiazdy, które przykleiła nad łóżkiem.

Odwróciła głowę z rozczarowaniem. Czego się spodziewała? Że obudzi się pod prawdziwym rozgwieżdżonym niebem?

Zacisnęła pięść na kołdrze i czekała, aż niepokój w niej osłabnie. A jednak najbardziej na świecie pragnęła wrócić do innego świata i znów przybrać postać wilka.

Bzdury, skarciła się surowo w myślach. Przecież była człowiekiem. Dziewczyną. Dlaczego nie potrafiła tego zaakceptować? Na moment zamknęła oczy, a potem odrzuciła kołdrę.

Nadszedł pierwszy dzień wakacji. Pora na śniadanie i pożegnanie z mamą.



Niewiele później Portia siedziała przy kuchennym stole i jadła śniadanie. Mama pakowała prowiant na podróż, w tle cicho grało radio. Dziewczyna skubała skórkę tosta z dżemem i przeglądała książkę o wilkach wypożyczoną z biblioteki. Przeczytała, że zwierzęta te w ciągu jednego dnia mogą przebiec nawet czterdzieści pięć kilometrów. W książce nie wspomniano jednak o tym, jak wspaniale jest pędzić przez łąkę, kiedy wiatr unosi futro niczym fala.

– Halo, Ziemia do Portii – powiedziała mama. – Chcesz kanapki z cheddarem czy z goudą?

Przysłapana na rozmyślaniu o niebieskich migdałach dziewczyna drgnęła.

– Z cheddarem – odpowiedziała szybko. *Skup się na tym, co tu i teraz*, nakazała sobie i zamknęła książkę.

Mama przesunęła po blacie kanapkę zawiniętą w papier, a potem uważnie przyjrzała się córce.

– Wszystko w porządku? Kiepsko spałaś?

– Nie, jest okej – zapewniła Portia. – Po prostu trochę się denerwuję.

Nie podnosząc wzroku, wgryzła się w tost z dżemem. Ile razy marzyła o tym, by opowiedzieć mamie o przygodzie, którą przeżyła jako wilk. Chciała mówić o smaku i o niepokoju, jaki w niej budziły.

– Portio? – zagadnęła mama. – Ale wiesz, że możesz powiedzieć mi o wszystkim, prawda?

Dziewczyna pogłaskała kciukiem grzbiet książki. Czy powinna się odważyć? Wyjawić, dlaczego śni jej się, że jest wilkiem?

Podniosła wzrok i zobaczyła zmarszczkę troski między brwiami mamy. Od razu straciła odwagę. Ten wyraz twarzy zbyt mocno przypominał szary nastrój, który ogarniał mamę, kiedy za bardzo się zamartwiała. W ostatnich miesiącach nie było śladu po takiej burzy emocji i Portia za nic nie chciała stać się powodem, dla którego miałoby się to zmienić. Lepiej zachować ten niepokój dla siebie.

– Jasne, że wiem – powiedziała. – Po prostu chyba trochę za długo wczoraj czytałam.

Czoło mamy się wygładziło.

– Ach tak? Ale, jak rozumiem, walizka już spakowana?

– Prawie.

Bez względu na sny o wilkach Portię cieszyła perspektywa wakacji w Walii. Uwielbiała obie ciotki, Różę i Jeżynę, które mieszkały w najprzytulniejszym domku na świecie. No i znowu zobaczy Bena, swojego najlepszego przyjaciela.

– Cieszysz się na konferencję? – spytała.

– Masz na myśli cztery dni wypełnione wykładami? – odparła mama z uśmiechem. – Jeszcze jak...

– Możesz pojechać ze mną – zaproponowała Portia.

– Na pewno byłoby spokojniej. – Mama westchnęła i podkraśla jej drugi tost z dżemem.

– Ej! – zawołała dziewczyna dokładnie w chwili, gdy przed domem zatrzymała taksówka.



– Muszę lecieć – rzuciła mama na pożegnanie i pocałowała ją w policzek. – Baw się dobrze, kochanie.

– Ty też.

– Bardzo śmieszne!

Mama wybiegła z domu, a Portia z westchnieniem opuściła głowę na książkę. Udawanie, że wszystko jest jak kiedyś, z każdym dniem było trudniejsze.

Możesz powiedzieć mi o wszystkim.

Mama mówiła to szczerze, Portia nie miała co do tego żadnych wątpliwości. A jednak istniało wiele rzeczy, o których nigdy nie rozmawiały. Czasami odnosiła wrażenie, że niewypowiedziane słowa zamieniają się w jej ustach w rój pszczoł, który musi przełknąć.

Przynajmniej od jutra spędzi siedem dni z ludźmi, którzy wiedzieli o innym świecie.

Właśnie odgryzała kolejny kęs tosta, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Czyżby mama czegoś zapomniała? Dziewczyna wybiegła z kuchni. Otworzyła drzwi, spodziewając się zobaczyć znajomą twarz, i znieruchomiała.



Deszcz znikąd

Portia

Na schodach stał Ben. Przemoczony do suchej nitki. Kurtkę, koszulę, włosy – wszystko miał mokre. Wyglądał, jakby trafił prosto w środek ulewy. Był tylko jeden problem. Nad ich głowami świeciło słońce, a w Londynie od dwóch tygodni nie spadła ani kropla deszczu.

Właśnie, jeszcze to. Ben znalazł się w Londynie, choć przecież mieszkał wiele kilometrów od tego miasta! Przez kilka sekund tylko na siebie patrzyli.

– Ben? – odezwała się w końcu dziewczyna. – Jak ty się tu dostałeś, co... – Urwała. Jej przyjaciel był śmiertelnie blady. Rękaw kurtki miał rozdarty i pokryty czerwonymi plamami, które wyglądały jak... jak krew? Przerazona chwyciła go za ramię. – Ty jesteś ranny! – zawołała.

Zamrugął i słabo pokręcił głową.

– To nie moja krew. Chyba.

– Chyba? – powtórzyła z niedowierzaniem. Co tu się, do licha, działo? Podciągnęła mu rękaw. Rzeczywiście. Nie miał nawet zadrapania.

Spojrzała przyjacielowi w oczy i przeżyła kolejny wstrząs. Wyglądał na kompletnie zagubionego, jakby nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Co się stało?

Przełknął ślinę, a po chwili przeszedł go dreszcz.

– Nie wiem.

★

Serce Portii trzepotało jak skrzydła kolibra, ale zachowała zimną krew. Posadziła Bena na kanapie, przyniosła ręcznik i suche ubrania. Kiedy wróciła do salonu z dwoma kubkami herbaty i ciasteczkami imbirowymi, wkładał bluzę jej mamy. Mokre ubrania leżały już w koszu na pranie, a zakrwawiony rękaw był na wierzchu. Portia postawiła herbatę na stoliku.

– Proszę. – Przesunęła kubek w stronę Bena.

– Dzięki.

Przygryzła dolną wargę. Powinna pozwolić mu odetchnąć, ale pytania same cisnęły jej się na usta.

– Jesteś tu sam? – zapytała. – W jaki sposób dostałeś się do Londynu?

Przyjaciół wpatrywał się w kubek.

– Nie pamiętam – odpowiedział wreszcie cicho.

Ze zmartwienia żołądek Portii zacisnął się w supeł. Co powinna teraz zrobić? Zadzwonić po lekarza? Do mamy? A może do mamy Bena?

– Zadzwonię po kogoś, dobrze? – zaproponowała. – Po kogoś, kto przyjedzie i nam pomoże.

Gwałtownie podniósł głowę.

– Nie!

Przełknęła ślinę.

– Ben, coś jest nie tak. Potrzebujesz pomocy, a ja...

Pokręcił głową.

– Nie – powtórzył. – Nie, muszę ci coś powiedzieć. – Umilkł. – To ważne – wymamrotał i znów wyglądał na zagubionego.

Dziewczyna zerknęła niepewnie na telefon, a potem usiadła obok przyjaciela.

– Co pamiętasz?

Nabrał głęboko powietrza i zamknął oczy.

– Dziś normalnie byłem w szkole – zaczął. – A kiedy po południu chciałem wrócić do domu, stał tam samochód i chyba kogoś zobaczyłem. Kogoś, kogo znam... – Jęknął z frustracji i otworzył oczy. – Nie pamiętam, kto to był!

Portia zmarszczyła czoło.

– Ben – powiedziała. – Jest sobota rano. Dzisiaj nie ma szkoły.

– Co? – Wpatrywał się w nią oszołomiony. – Sobota? Nie, dziś jest piątek! – Poderwał się tak raptownie, że gorąca herbata chlupnęła o brzeg kubka.

– Ej, ej! – Szybko zabrała mu kubek z rąk. – Uważaj, bo się poparzysz.

– To nie może być prawda – jęknął Ben. – Dlaczego ja niczego nie pamiętam?

– Może się przewróciłeś? – spytała Portia.

Opuścił ręce.

– Przewróciłem się – powtórzył. – Tak. Tak! Poślizgnąłem się przy drzwiach!

– Jakich drzwiach? – zaczęła dopytywać.

– Niebieskich? – odparł niepewnie, po czym nagle otworzył szeroko oczy. – W mojej torbie! – zawołał i pochylił

się nad koszem z praniem. Zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie kurtki, aż w końcu wyciągnął złożony papier.

– Proszę – powiedział podekscytowany. – Mam ci to pokazać, ale... o nie.

Kartka była równie mokra jak jego ubrania.

– Pokaż. – Dziewczyna się nad nim nachyliła.

Ktoś zapisał coś na tej kartce, ale papier był tak namoknięty, że w wielu miejscach zostały tylko szare smugi atramentu. Linie i kilka pospiesznie nabazgranych liter. To wyglądało jak szkic mapy. Pod spodem znajdowała się częściowo czytelna lista ziół – tak się przynajmniej Portii wydawało – oraz początek wiadomości: „Do Meralyn – *Ben został ot*”.

– Meralyn – mruknęła Portia. Tak nazywała się zmienno-kształtna, która pomogła jej w zeszłym roku. Tyle że ta kartka nie miała żadnego sensu. Nie w tym świecie.

– Dziwne, prawda? Rozumiesz coś z tego? – zapytał chłopak.

– Nie bardzo. – Przyjrzała się mapie. Pośrodku zakreskowanego obszaru, może rozległej łąki, znajdował się krzyżyk. Obok napisano: „Oko Burzy”.

Portia nigdy nie słyszała tego określenia, ale charakter pisma wydał jej się znajomy. W pamięci zamigotał jej obraz niczym urywek z jednego ze snów o wilkach. Mężczyzna, którego cień miał kształt lisa.

– Robin – szepnęła Portia i odwróciła kartkę.

Na papierze widniał krwawy odcisk łapy przypominający wypalony ślad. Nagle poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Przełknęła ślinę.



– Ben, no pomyśl. Wiesz przecież, od kogo jest ta wiadomość. Czyj to może być charakter pisma i kto zostawiłby odcisk łapy na kartce?

Chłopak gwałtownie wciągnął powietrze, jakby coś sobie przypomniał. Zerwał się na równe nogi i znów zaczął grzebać w koszu z praniem. Portia usłyszała jego przestraszone westchnienie, gdy powoli się wyprostował. Ścisnął coś w prawej ręce.

– Co tam masz?

Wyciągnął ku niej pięść. Dziewczyna poczuła dreszcz na karku, a w uszach zaszumiał jej cichy wiatr, którego tutaj, w małym londyńskim mieszkaniu, w ogóle nie powinno być. Ten wiatr ją przywoływał.

Ben rozprostował palce. Na jego dłoni leżał klucz.